



MA

BERNARD

MINIER

NA KRAWĘDZI OTCHŁANI



TEGO AUTORA POLECAMY RÓWNIEŻ

—

Bielszy odcień śmierci

Krąg

Nie gaś światła

Paskudna historia

Noc

Siostry

BERNARD

MINIER

NA KRAWĘDZI OTCHŁANI

Przełożyła
Monika Szewc-Osiecka



Dom Wydawniczy REBIS

Tytuł oryginału
M, le bord de l'abime

Copyright © XO Éditions 2019
All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by REBIS Publishing House Ltd.,
Poznań 2019

Redaktor
Elżbieta Bandel

Fotografie na okładce
© Hayden Verry/Arcangel (kobieta)
Kilyan Sockalingum on Unsplash (schody)

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.
Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

Wydanie I
Poznań 2019

ISBN 978-83-8062-641-6

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

Większość ludzi wcale nie chce, by wyszukiwarka Google odpowiadała na ich pytania. Chcą, by mówiła im, co mają robić.

Eric Schmidt, dyrektor generalny Google

O zachowanie prywatności będzie coraz trudniej.

Tenże

Mam dostęp do największych osiągnięć w dziedzinie sztucznej inteligencji i uważam, że ludzie powinni być naprawdę zaniepokojeni.

Elon Musk, współzałożyciel Tesli i SpaceX

OD AUTORA

Wszystkie technologie, o których wspominam w tej książce, istnieją bądź są obecnie rozwijane. Aplikacje i urządzenia, z którymi spotkacie się na jej stronach, są już używane w wielu krajach – niemal identyczne jak w tej powieści. Jej akcja nie toczy się bowiem w przyszłości, lecz dzisiaj.

PROLOG

Dziesięć jardów

Przejrzała się w lustrze. Była wyczerpana i nie dało się tego ukryć. Zamrugła kilka razy. Wystawiła język. Odetchnęła głęboko i zacisnęła powieki. Poczwała łzę, która jak małeńka perła wyśliznęła się spomiędzy rzęs.

Stłumione, rytmiczne dźwięki imprezy dochodziły aż do damskiej toalety i wypełniały jej nieskalaną przestrzeń. Było tu tak czysto, tak spokojnie – wśród wszystkich tych ostrych krawędzi i przyciemnionych świateł. Obok niej odezwał się czyjś głos, ale nie słyszała, co mówi: może w ogóle nie zauważyła, że ktoś jest obok, a może mówił za cicho. Głos jednak nie milkł, rozbrzmiewał gdzieś na obrzeżach jej świadomości, niczym lekki wiatr na skraju lasu, niezdolny, by przedrzeć się głębiej.

– Źle się pani czuje?

Zdusiła czknięcie, szarpnęła drzwi kabiny i wpadła do środka. Nie zdołała wymiotować, z jej ust popłynęła tylko nędzna strużka śliny zmieszanej z żółcią: od dawna miała pusty żołądek. Kiedy wyszła, rozczochrana i dysząca, dziewczyna wciąż na nią patrzyła.

– Źle się pani czuje? Wezwać lekarza?

Carrie Law nie odpowiedziała. Wyszła i ruszyła korytarzem w kierunku tarasu, mijając drzwi do męskiej toalety. Akurat ktoś je otworzył: po prawej, na granicy pola widzenia dostrzegła jasne, rude, a nawet niebieskie peruki oraz boa z piór oplatające grube szyje. Potężni faceci w damskich ciuchach sikali, stojąc szeregiem nad pisuarami. Śmiali się do rozpuku i wymieniali uwagami, któ-

re miały być zabawne albo wulgarne. Ona sama przyszła w smokingu z czarną muchą i białej koszuli z żabotem. Transwestytycka imprezka... Co za debilny pomysł. Mężczyźni przebrani za kobiety i kobiety przebrane za mężczyzn. Pewnie kupili te śmieszne stroje na bazarze Ladies' Market przy Tung Choi Street. A może, kto wie, w luksusowych butikach International Finance Center. W końcu to Central, dzielnica biznesu. Pieprzona Wall Street w tym pieprzonym mieście, którego bóg ma na imię Pieniądz. Siano. *Money. Give me money.*

Wyszła na taras trzydziestego drugiego piętra. Ulewa nadal miarowo bębniła o dywany, wielkie kwadratowe parasole, pod którymi schroniło się pięćdziesięcioro gości, i opustoszały basen. Rzęsisty, ciepły deszcz – jak mocz. Wodne kurtyny obmywały oświetlone fasady sąsiednich drapaczy chmur, które szturmowały zasnute nocne niebo. W dole, w kanionach z betonu i szkła, wyły silniki, syreny, klaksony, a na chodnikach przy drzwiach biurowców mimo późnej pory i burzy kłębiły się tłumy. Taki właśnie był Hongkong: szalona energia. Obłęd nieustannego biegu. Hałas, gorąco, wilgoć. I wszędzie pośpiech. Bez przerwy. Mieszkańcy Hongkongu biegali. Dokąd, za czym – nie miała pojęcia. Ale biegali. Carrie Law nie chciało się biegać. Na nic już nie miała ochoty.

Próbowała o tym mówić. Siedem miesięcy temu udała się do specjalisty, doktora Andy'ego Leunga w Causeway Bay. Poddał ją serii badań, rezonansów magnetycznych i tomografii komputerowych, zgłębił jej psychiatryczną przeszłość. I w efekcie postanowił wszczepić jej to urządzenie. Podobno rewolucyjny bajer, testowany w Europie i Izraelu na pacjentach chorych na ciężką depresję, której nie były w stanie ukoić żadne leki. Nazywano to „głęboką stymulacją mózgu”: elektrody umieszczono w odpowiadającym za nastrój płacie czołowym i podłączono do maleńkiego komputera i baterii w klatce piersiowej za pomocą przewodów poprowadzonych pod skórą głowy i szyi. Elektrody odczytywały aktywność jej mózgu i jeśli była taka potrzeba, komputer reagował, wysyłając impuls elektryczny. Wszystko to trwało kilka tysięcznych sekundy. A może kilka setnych, nie pamiętała dobrze. Krótko mówiąc, cud techniki... Doktor Leung przyznał, że nie wiadomo, jak to działa. Ale grunt, że działało – przynajmniej w przypadku siedemdziesięciu procent pacjentów. Wiedziała tylko, że w mini-

komputerze między piersiami ma trochę sztucznej inteligencji. Urządzenie, które nosiła, nie było dokładnie takie samo jak to, które testowano w Jerozolimie: było bardziej wydajne, bardziej zaawansowane. Zostało wykonane przez chińską firmę Ming Incorporated. Carrie pracowała dla niej przez trzy lata i właśnie z tego tytułu – oraz z uwagi na lekooporną depresję – zaproponowano jej udział w programie.

Tak czy owak, jedno było pewne: nie należała do tamtych siedemdziesięciu procent. Bardzo szybko okazało się bowiem, że to nie działa – och, jeszcze jak nie działało, tak naprawdę nie działało nigdy, nawet przez minutę, nawet przez sekundę, choć na początku jeszcze chciała wierzyć, że jest inaczej. A zdarzenie z ubiegłego miesiąca, które wstydliwie nazywała „napaścią”, bynajmniej jej nie pomogło.

Zresztą i tak już dawno porzuciła wszelką nadzieję. A ciemności stopniowo znowu się nad nią zamknęły, wskazując drogę, którą należy iść. Słyszała, że jeden z pacjentów szpitala Hadassa w Jerozolimie miał nawrót depresji, bo wyczerpała mu się bateriajka. Kto wie, może jej bateria nigdy nie działała? Może jej baterię też powinni sprawdzić? Ale nie... Ci wszyscy ludzie czepiający się życia... Choćby było najbardziej idiotyczne, najbardziej poniżające – i tak się go czepiali. W dzielnicy Mongkok tysiące mieszkańców żyły jak szczury w zatęchłych dziurach o powierzchni kilku metrów kwadratowych, gnieździł się popychani jedni na drugich w niezliczonych norach, w wielkich, zdewastowanych wieżowcach, bez klimatyzacji, bez wygod, bez higieny. A jednak oni również czepiali się życia. Nie chcieli porzucić swojej małej, gównianej egzystencji.

Dlaczego więc ona ma w nosie własną? Dlaczego nie zachowuje się tak jak ci ludzie? Albo jak uczestnicy tego bankietu? Spojrzała na nich: czują się uprzywilejowani, bo zarabiają dużo pieniędzy, żyją w luksusie po właściwej stronie Zatoki Wiktorii. Połowa z nich pochodzi z Zachodu, reszta to Chińczycy. Śmiechy, niezobowiązujące pogawędki, pełne szklanki i kieliszki z szampanem. Co drugi pochylał się nad telefonem, zajęty pisaniem lub czytaniem wiadomości, oglądaniem filmików na Facebooku czy YouTube, rozmową przez WeChat i Weibo. Niektórzy pstrykali zdjęcia smartfonami. A więc to jest ich życie? Tylko tyle? Telefon?

Na chwilę jej wzrok przyciągnęła blondynka, która wysokim wzrostem dominowała nad zgromadzeniem. Tove Johanssen. Carrie kilka razy spotkała ją w Ośrodku, jak nazywano laboratorium badawczo-rozwojowe Ming Incorporated. Prawie dwumetrowa Norweżka. Krótko obcięte, jasne, niemal białe włosy, zimne szare oczy, sportowa sylwetka. Pracowała w dziale sztucznej inteligencji Ming. Carrie pomyślała o własnym życiu, o zbliżającej się trzydziestce, o czterdziestce, która nadejdzie potem, o życiu bez planów, bez miłości, a także o tym, czym było dwadzieścia osiem lat jej dotychczasowej egzystencji – ale nie wyłonił się z tego żaden wyraźny obraz, na powierzchnię nie wypłynęło nic godnego uwagi, nic, co zasługiwałoby choćby na linijkę w komentarzach „przyjaciół” na portalach społecznościowych, gdy już będzie po wszystkim. I być może właśnie dlatego wyszła spod parasola.

Od razu poczuła uderzenie ulewnego deszczu. Padało tak mocno, że w jednej chwili była mokra – z góry lały się na nią strumienie wody, a z dołu pryskały krople odbijające się od przemoczonego dywanu. Minęła basen i wreszcie skupiły się na niej wszystkie spojrzenia.

Przemoknięta do suchej nitki nie przestała podążać w stronę krawędzi tego wielkiego tarasu zawieszonoego ponad ulicami. Rozmowy w końcu umilkły i coraz więcej par oczu zwracało się w jej kierunku. Zakłopotanych, ciekawych lub zaniepokojonych. Po raz pierwszy stała się obiektem tak powszechnej uwagi. Był to też właściwy moment na ostatnią myśl. Ale jeszcze nie myślała o niczym. Gdyby musiała to zrobić, streścić swoje życie jednym zdaniem, powiedziałaaby, że było ono jak zbyt krótka opowieść stworzona przez pozbawionego talentu scenarzystę, który wypalił parę skrętów.

Gdy Carrie Law przeszła przez szklaną balustradę – co zrobiła z tym większą łatwością, że miała na sobie spodnie od smokingu – za jej plecami podniosły się krzyki i ktoś – a konkretnie młody Amerykanin z Pittsburgha, który przebywał tu w interesach i marzył o zaliczeniu jakiejś Chinki – rzucił się w jej stronę. I tak nie zdążyłby dobiec, ale na domiar złego pośliznął się na przemoczonym dywanie i ukląkł na kolanie, a głupkowata blond peruka zsunęła mu się z głowy, odsłaniając prawie łysą czaszkę, następnie wstał, poderwał się i ruszył z jeszcze większym impe-

tem – na uniwersytecie grał na pozycji wspomagającego – w tym momencie jeden z jej ośmiocentymetrowych obcasów wisiał już nad otchłanią.

Trzydzieści dwa piętra... Odwróciła głowę i ujrzała młodego Amerykanina o szerokich ramionach i szalonych oczach oraz jego pomalowane czerwoną szminką usta. Mężczyzna z krzykiem rzucił się ku niej, tak jak robił to niedawno, gdy chciał powstrzymać biegacza przeciwnej drużyny przed przekroczeniem linii trzech jardów. Zrobiła jeszcze jeden krok.

Kiedy poczuła pod stopami pustkę, która wciągała ją z niepowstrzymaną siłą, pęd powietrza na ubraniach i policzkach, gdy zobaczyła przesuujące się z zawrotną prędkością światła i zbliżającą się zbyt szybko ziemię, ona również krzyknęła. A raczej zawyła.

Chwila intensywnego zimna, gdy upada na lewy bark i ścięgnięta zostają zerwane. Włosy przestaniają jej widok. W momencie uderzenia głową o chodnik wszystko zalewa czerwień, serce odkształca się i eksploduje, żebra dosłownie ulegają zmieleniu, zamieniają się w pył, płuca zostają rozerwane, naczynia krwionośne stają się purpurową chmurą erytrocytów, leukocytów i osocza, a ciało zostaje rozciągnięte, spłaszczone – jakby to twarde podłoże uderzyło w nią, a nie na odwrót. A potem, chwilę później, nie ma już nic. Nic poza nieruchomą masą na chodniku, rzeczą, która nie jest Carrie Law. Carrie Law już nie ma – ani tutaj, ani nigdzie indziej. Chyba że gdzieś istnieje tajemnica większa od niej, większa od wszystkich. Bo jak pisał pewien argentyński poeta, Antonio Porchia, „świat nie stanowi pełnej harmonii, brakuje do niej zgody człowieka”.

Dane

Była środa, dwudziesty szósty czerwca. Deszcz nie przestawał padać, a temperatura rosnąć i kiedy Moira wysiadła z samolotu Cathay Pacific, lot CX260, który wystartował z lotniska Paris Charles-de-Gaulle, Hongkong, jak zwykle w okresie od maja do sierpnia, wyglądał jak łaźnia, hammam na otwartym powietrzu.

Jednak klimatyzowana hala międzynarodowego portu lotniczego Chek Lap Kok, w której było poniżej dwudziestu stopni, przypominała raczej chłodnię. Moira odebrała walizkę, przeszła po lśniącej posadzce do stanowisk kontroli celnej i imigracyjnej znajdujących się pod neonową reklamą Choparda i stanęła w ogonku. Dygotała: zgodnie z zaleceniami przewodników na tę porę roku miała na sobie strój dostosowany do subtropikalnych temperatur i rekordowej wilgotności. Już w trakcie lotu arktyczny chłód panujący w kabinie dał jej się we znaki. Ale *business class* Cathay Pacific oprócz przyborów toaletowych, posiłku i napitków w dowolnej ilości zapewniała pasażerom również koc i grube skarpety.

Opuściła Roissy poprzedniego dnia o trzynastej dziesięć. Skonsumowała obfity posiłek serwowany po starcie, zasłoniła okienko i za pomocą mnóstwa guzików zmieniła naszpikowaną technologią kabinę, która oddzielała ją od reszty pasażerów, w prawdziwe łóżko, po czym szybko zasnęła w objęciach sztucznej nocy. Maszyna tymczasem pędziła na wschód, przelatując jakieś jedenaście kilometrów nad Europą, Rosją i Chinami.

Sen powrócił. Ten sam, który prześladował ją od chwili, gdy zaczęła się przygotowywać do wyjazdu do Hongkongu. Sen z Chiń-

czykiem... Jak każdego ranka uprawia jogging nad brzegami Sekwany, pokonując swoją codzienną trasę: pont d'Austerlitz, quai Saint-Bernard, pont de Sully, port de la Tournelle, quai de Montebello, Pont-Neuf, pont des Arts... Biegnie po nierównym bruku, mija barki zacumowane w cieniu nadbrzeżnej skarpy, fasady na Wyspie Świętego Ludwika, przypory katedry Notre-Dame odcinające się na tle pochmurnego nieba. Następnie, nie zwalniając kroku, po krętych schodach – zapewne pamiętających czasy, w których Gavrilo Princip zamordował Franciszka Ferdynanda Habsburga – wraca do niewielkiego mieszkania na poddaszu przy rue Cardinal-Lemoine. Gdy otwiera drzwi, z niebytu wyłania się Chińczyk i popycha ją do środka. Ciąg następujących teraz obrazów jest dość zamazany, jednak wystarczająco wyraźny, by podsumować go jednym słowem: gwałt. Wstrząśnięta sugestywną realnością snu, którego strzępy wciąż błąkały się w jej umyśle, gwałtownie się przebudziła.

– Paszport.

Kolejka nagle się ruszyła. Chińczyk z kontroli imigracyjnej był o wiele młodszy i grzeczniejszy niż ten z jej snu, niemniej jednak patrzył na nią bez uśmiechu. Sprawdził jej paszport, wizę służbową oraz dokument, który kazano jej wypełnić na pokładzie, i jeszcze raz spojrzął na młodą kobietę: jej jasnokasztanowe włosy i oczy w kształcie migdałów i kolorze palonego drewna oraz wyraźnie zarysowana linia ust niemal upodabniały ją do Chinki. Moira miała na sobie tego ranka džinsy z dziurami, przez które było widać opaloną skórę jej kolan (wiedziała, że długo nie będzie miała wakacji, więc spędziła tydzień na Sycylii), białe sportowe sandały, T-shirt z napisem I'M NOT ANTI-SOCIAL, I'M ANTI-BULLSHIT, a w lewej dziurce od nosa czarny kolczyk. Była stuprocentową Francuzką. Przejawiało się to na przykład w zniecierpliwieniu i irytacji, z jaką odpowiadała na pytania.

– Francuzka?

Przecież masz napisane, pomyślała. Czego on się spodziewa? Że odpowiem: „Nie, brazylijski transwestyta z Lasku Bulońskiego”?

– Tak. Francuzka.

– Przyleciała pani do Hongkongu do pracy.

– Tak. Do Ming Incorporated.

Skinął głową.

– Ach tak, Ming. Są tutaj bardzo ważni... Chińczycy.

Zastanawiała się, co gość przez to rozumie: pewnie chodzi mu o Chińczyków z Chin. A tutaj jest Hongkong. Mimo że miasto przed dwudziestoma dwoma laty wróciło na łono potężnego sąsiada, pierwszego lipca, w rocznicę oddania dawnej kolonii brytyjskiej Chinom, wciąż odbywają się tu protesty.

– Więc zajmuje się pani informatyką?

– W pewnym sensie...

Natychmiast pożałowała tej nieco wymijającej odpowiedzi, ale urzędnik – z obojętności albo przyzwyczajenia – nie podjął tematu i oddał jej paszport.

– Witamy w Hongkongu – powiedział grzecznym, choć chłodnym tonem.

Wsunęła dokument do przypiętej w pasie szaszki i przeszła przez bramkę kontrolną, ciągnąc za sobą walizkę Samsonite na kółkach po podłodze tak czystej, że można by z niej jeść. Gdy drzwi prowadzące do hali przylotów się otworzyły, ujrzała w tłumie ubranego w czarny garnitur faceta o szerokiej, płaskiej twarzy, który trzymał przed sobą tablet z wyświetlającym się napisem: „Moira Chevalier”. Rozpływając się w uśmiechach i ukłonach, nalegał, by wziąć od niej walizkę, ale odrzuciła jego propozycję. Była przeciwniczką wszelkich form hierarchizacji w stosunkach międzyludzkich poza gruntem zawodowym. Ale przecież to jego robota, nie? – szepnął wicherzycielski głosik w jej głowie, który lubił się z nią sprzeczać. No i co z tego? Czasy Reginalda Jeevesa się skończyły.

Za wielką przeszkloną ścianą zobaczyła porośnięte lasem pagórki i wysokie bloki mieszkalne tonące w ulewnym deszczu. Wyszła na zewnątrz, gdzie czekał ją pierwszy szok: czołowe zderzenie z powietrzem o temperaturze trzydziestu siedmiu stopni Celsjusza i wilgotnością bliską dziewięćdziesięciu procent. A była dopiero ósma rano. Deszcz siekł w dach tesli model S zaparkowanej przed wejściem: elegancki elektryczny wóz wyglądał jak drapieźnik gotowy do skoku. Osłaniając Moirę parasolem, kierowca otworzył jej tylne drzwi. Kusilo ją, by usiąść z przodu, ale na swojej kanapie zauważyła pudełko, które najwyraźniej czekało tu właśnie na nią. Poprosiła kierowcę, by dał jej minutę, i wciągnęła w siebie śmiercionośną dawkę nikotyny, której tak pragnęła.

Następnie wsunęła się do aseptycznej kabiny, a jej uwagę natchmiast przykuła płynąca z głośników melodia. Zmarszczyła brwi. Znała tę piosenkę. Co więcej, był to jeden z jej ulubionych kawałków. *The Thrill is Gone*. B.B. King. A na gitarze Clapton...

*The thrill is gone, the thrill is gone
the thrill is gone, baby.*

Uśmiechnięta od ucha do ucha zapadła się w fotel. Oto jeden z tych szczęśliwych zbiegów okoliczności, jakimi raczy nas życie. Niektórzy chcą w nich widzieć coś więcej: znaki od losu, wróżby umieszczone niczym drogowskazy na każdym skrzyżowaniu drogi życia.

*You know you done me wrong baby
And you'll be sorry someday*

Przez chwilę pozwoliła się kołysać muzyce i słowom. Ruszyli w strugach deszczu: kierowca wcisnął pedał i tesla – wyposażona w ekran wielkości małego telewizora umieszczony na desce rozdzielczej – skoczyła naprzód, niewiarygodnie bezszelestna. Ona tymczasem sięgnęła po leżące obok pudełko. Płaski prostopadłościan wyglądem przypominający humidor. Czterdzieści na trzydzieści centymetrów. Na lśniącym czarnym wieczku jaśniały białe chińskie znaki – nie potrafiłaby powiedzieć, czy chodzi o kantoński, czy o mandaryński – oraz jej imię wypisane krwistoczerwonymi literami.

Moïra Chevalier

Na dole po prawej minimalistyczne, proste, skromne logo Minga:

M

Pozłacane, eleganckie M. M jak misterium. M jak magia. M jak miliarder.

Prezent powitalny... Poczwała, że serce zabiło jej trochę szybciej. Głupi odruch Pawłowa, który sprawia, że wszyscy reagujemy na słowo „prezent”, rezultat wielu lat warunkowania, niezliczonych Gwiazdek, urodzin i innych okazji. Uniosła wieczko. W środku znajdował się czerwony jak jej imię jedwabny papier. Gdy go od-

sunęła, jej oczom ukazały się biały tablet i czarny telefon – na obydwu urządzeniach u dołu z prawej strony wybito złote **M**.

Choć była skupiona na oglądaniu zaawansowanych technologicznie gadżetów, zauważyła, że utwór w głośnikach się zmienił. B.B. King ustąpił piosence Drake'a *God's Plan*.

*Yeah they wishin' and wishin' and wishin' and wishin'
They wishin' on me, yuh.*

Jak to możliwe? Dwa pierwsze utwory na jej playliście. Miała ją w smartfonie... Nie, to nie może być zwykły zbieg okoliczności. Spojrzała na drugi smartfon, ten z pudełka. Zwróciła uwagę na ultrapłaski, elegancki, futurystyczny dizajn. Odwróciła urządzenie. Z tyłu znajdował się potrójny aparat fotograficzny. Gdzieś czytała, że matrycę stworzył niemiecki producent optyki Leica. I że jakość zdjęć jest oszałamiająca. Wzięła do ręki tablet.

Tesla mijają ciąg drapaczy chmur. Moira podniosła wzrok. Jej oczom ukazały się jedno z najbrzydszych budynków, jakie kiedykolwiek widziała: szare, jednakowe, szkaradne mrówkowce pełne mikrych mieszkań – za szybą samochodu przesuwają się ich tysiące. Chwilę później tesla zanurkowała w tunelu, który przechodził przez zielone wzgórze odcinające się na tle ciemnego nieba, a kiedy stamtąd wyjechała, Moira ujrzała wielkie wiszące mosty przerzucone nad zatoką – lotnisko znajdowało się na wyspie – i kolejne chmary pozbawionych wdzięku drapaczy chmur. Jej uwaga była rozdarta między obserwowaniem krajobrazu a oglądaniem przedmiotów w otwartym pudełku, które spoczywało obok niej na kanapie.

– No, niech pani włączy tablet – powiedział kierowca, gapiąc się na nią we wstecznym lusterku z miną dzieciaka, który planuje psikusy.

Kiedy wcisnęła włącznik, poczuła lekki skurcz żołądka. Jakby tym prostym gestem uruchomiła jakiś nieodwracalny proces. Ale czy w sumie tak właśnie nie było? Przyjmując to stanowisko, wiedziała, że dokonuje w swoim życiu decydującego zwrotu.

Ekran się rozjaśnił i doznała pierwszego wstrząsu: pulpit zdołała mozaika obrazów: pejzaże, portrety, selfie... Ona z matką na

wakacjach w Quiberon... Zdjęcia zrobione w Tajlandii, w Nowym Jorku, w Meksyku, w Bretanii. Bardzo dobrze je znała – i nic dziwnego, ponieważ sama je zrobiła. Wszystkie pochodziły z pamięci jej telefonu. Na chwilę w jej mózgu zapanował chaos i zalał go potok pytań, tak że nie była w stanie myśleć o niczym innym. Nie miała jednak możliwości zastanowić się nad tym wszystkim głębiej, ponieważ na ekranie wyświetliła się wiadomość:

Cześć, mam na imię Lester. Kieruję działem sztucznej inteligencji w Ming Incorporated. Będę wdzięczny za otwarcie poniższego linku.

Lester – nie brzmiało to szczególnie po chińsku. Wiedziała jednak, że wielu Hongkończyków nosi angielskie imiona. Zresztą nawet w Chinach – gdzie imię można zmieniać wiele razy w życiu – imiona angielskie były w modzie.

Wykonała polecenie i od razu włączyło się odtwarzanie filmu. Zbliżenie na twarz, która nie miała w sobie nic azjatyckiego, w tle drzewa i futurystyczne budynki. Lester był rudy – najbarziej, jak tylko można. Leprechaun – postać z irlandzkiej mitologii, brodaty psotny skrzat o skórze barwy zsiadłego mleka, chorobliwie bladej, którą omija słońce. Wpatrywał się w nią wytrzeszczonymi zielonymi oczami, a kiedy otworzył usta, zobaczyła rząd nierównych zębów, które tylko dodawały mu uroku. Natychmiast poczuła, że będą się dobrze dogadywać.

– Dzień dobry, Moïro! Witaj w Hongkongu! Wszyscy się tutaj cieszą, że cię zobaczą. Nie możemy się doczekać, kiedy poznamy nową członkinię działu SI. Wiem, że pracowałaś w laboratorium FAIR w Paryżu. Możesz być pewna, że nie będziesz się czuła zagubiona: poza Chińczykami mamy już w firmie Francuzów, a także przedstawiciele trzydziestu innych krajów. – Klasnął w dłonie. – Zobaczysz: Ośrodek absolutnie nie ma czego zazdrościć Googleplexowi czy siedzibie Facebooka w Menlo Park, nawet jeśli jest nieco mniejszy. Twoim *lingua franca* tutaj jest oczywiście angielski. Nie musisz więc mówić po kantońsku albo mandaryńsku, jasne? – dodał, udając śmieszny chiński akcent.

Wiedziała o tym wszystkim. W przeciwnym razie nie starałaby się o przyjęcie do tej firmy: nie znała kantońskiego ani mandaryńskiego.

– W dodatku w naszej stołówce dają Blueberry Cheesecake Crème Frappuccino – szepnął, puszczając do niej oko.

Znowu się zdziwiła. Skąd wiedział, jaki jest jej ulubiony napój? Kolejny zbieg okoliczności? Bardzo ją korciło, by go o to zapytać, ale to nie była transmisja na żywo, w rogu widniała data i godzina: 6/25/19, 20:13. Nagrali wiadomość powitalną, kiedy była w samolocie.

– A właściwie... w sześciu darmowych stołówkach i kafejkach, które znajdziesz w kampusie – uściślił. – Ja mam słabość do lemoniady z zielonej herbaty i ananasa... No i hamburgery mają tu powalające. Ale to wszystko zobaczysz jutro. A dziś jesteś zaproszona do siedziby firmy na pierwszą rozmowę z big bossem. – (Usłyszawszy te słowa, poczuła, jak skręcają jej się wnętrzności). – Nie martw się, to nic strasznego. Kierowca odstawi cię do hotelu i wróci po ciebie o piętnastej. Będziesz więc miała czas trochę poleżeć i odpocząć, choć podróż klasą biznes jest raczej miła, prawda?

Zastanawiała się, czy facet tylko pozuje na takiego sympatycznego młokosa, czy zawsze taki jest.

– Tymczasem czeka cię pewne zadanie... Na twoim ekranie jest ikonka przedstawiająca twarz. Kliknij w nią i umieść tablet pionowo przed sobą. Usłyszysz instrukcje. Chodzi o stworzony przez nas program do rozpoznawania twarzy. Dzięki niemu kiedy włączasz tablet, zintegrowany aparat od razu się uruchamia i nie musisz podawać hasła, a wchodząc do Ośrodka, nie potrzebujesz identyfikatora ani karty magnetycznej. W kampusie jest ponad czterysta kamer połączonych z jednostką monitoringu i komputerem, który zarządza rozpoznawaniem twarzy tysiąca dwustu pracowników. Tablet nagra też twój głos: pracujemy nad programem identyfikacji wokalne, ale nie jest tak skuteczny, zwłaszcza jeśli w otoczeniu panuje hałas. Zrozumiałaś?

Pytanie było retoryczne, bo nagranie nie czekało na jej odpowiedź. Ku swojemu zaskoczeniu skinęła jednak głową.

– Oczywiście prosimy, żebyś od teraz do wszystkiego, co ma związek z twoją pracą, używała urządzeń Minga. No dobrze, na razie to tyle. Jutro spotykamy się na oprowadzaniu. Powtarzam: wszyscy z niecierpliwością czekamy, żeby cię poznać. Dobrego dnia i do jutra!

Filmik się zatrzymał, twarz Lestera zniknęła. Moira potrzebowała kilku sekund, by dojść do siebie. Uświadomiła sobie, że z głośników w kabinie płynie teraz piosenka znana jej równie dobrze jak dwie poprzednie: *Wild is the Wind*. Thin White Duke. Czasy, w których Bowie żył kokainą, papryką i mlekiem, mieszkał w domu wypełnionym egipskimi antykami, palił czarne świece i bał się, że jego nasienie zostanie wykradzione przez czarownicę. Cholera, to przecież jej playlista!